

SAM NA SCENIE

Gazeta Festiwalowa Turnieju Teatrów Jednego Aktora
62. Ogólnopolskiego Konkursu Recytatorskiego

www.samnascenie.art.pl

2

Słupsk 2017

Irena Tkaczyk „Tylko nie cynkowa”

na podstawie opowieści Swietłany Aleksijewicz „Cynkowi chłopcy”
scenariusz, reżyseria: Aneta Ćwieluch



© Anna Glińska

„Tylko nie cynkowa” to wstrząsające wyznanie matki radzieckiego żołnierza, uczestniczącego w wojnie (która według władz ZSRR nią nie była) w Afganistanie.

Scenariusz monodramu – autorstwa Anety Ćwieluch, jednocześnie reżyserki spektaklu – powstał w oparciu o książkę Swietłany Aleksijewicz „Cynkowi chłopcy”, której zbiorowym bohaterem są młodociani żołnierze, w znacznej większości, pochodzący z Białorusi i Ukrainy. Jednak sama opowieść dotyczy nie tyle wojny i jej okrucieństw, ale matek, które straciły przez nią synów. Nie tylko w dosłownym tego słowa znaczeniu (w Afganistanie zginęło kilkadziesiąt tysięcy rosyjskich żołnierzy, ale władze nie chcąc przyznać się do ich śmierci twierdziły np., że umarli z powodu choroby, wypadku, etc.). Wielu młodych ludzi wróciło do domu w cynkowych trumnach (stąd tytuł książki). Wielu powróciło w takim stanie, że matki nie mogły ich rozpoznać. Jako bankruci bez złudzeń, z koszmarami, które miały ich nigdy nie opuścić. Aleksijewicz napisała swój reportaż w oparciu o kilkadziesiąt rozmów przeprowadzonych z matkami żołnierzy. Po publikacji książki autorka została pozwana o znieważenie honoru i godności żołnierzy walczących z Afganistanie.

Irena Tkaczyk z Teatralnej Grupy Dorosłych Młodzieżowego Domu Kultury w Bolesławcu wciela się w postać takiej matki. Jej syn wrócił do domu żywy, ale to, co przeżył w Afganistanie – śmierć przyjaciół, zabijanie, narkotyki – odmieniło go nie do poznania. Trauma nie pozwala powrócić mu do normalnego życia. W końcu zabija kogoś („co za różnica tam, czy tu, widocznie zasłużył”) i trafia do więzienia, gdzie umiera. „Ja go zabijać nie uczyłam” – padają słowa ze sceny.

Aktorka snuje swoją przerażającą opowieść, w której przeplatają się wspomnienia dzieciństwa syna i jego obecnej sytuacji. Doświadczamy wraz z nią bólu matki po utracie dziecka, jej rozpacz i niemożności pogodzenia się z losem. Na scenie nie wspiera jej żadna scenografia. Jest tylko ona i tekst, który wypowiada, a mimo to słucha się jej z uwagą do samego końca. Oszczędność gestów i ruchów aktorki współgra z tragizmem słów.

Joanna Jusianiec

Kamil Zyzik „Dzień języków obcych”

na podstawie tekstów Tadeusza Różewicza „Kup kota w worku” i Doroty Masłowskiej „Między nami dobrze jest”

scenariusz: Kamil Zyzik

reżyseria: Anita Zygm

scenografia: Joanna Sroczyńska

muzyka: Piotr Zygm

Czasem siedząc w teatrze, czy oglądając teatr telewizji, zwłaszcza współczesny, zastanawiam się, co się dzieło w głowie reżysera. Próbą odpowiedzi na to pytanie zdawał się być spektakl Kamila. Ciekawa to odpowiedź, inteligentna, błyskotliwa, ironiczna i szydercza.

Nie ma sensu pisać, że na początku spektaklu jest ciemno, a aktor siedzący na wysokim, reżyserskim stołku, opowiada różewiczowskim tekstem o tym, że na scenę wchodzi staruszek. Krótki to fragment, ale ważny dla spektaklu, stanowi mocne rozpoczęcie. Potem już jest nieco bardziej współcześnie – „Między nami dobrze jest” Masłowskiej wyśmiewa współczesną pop-kulturę i obnaża jej pustkę intelektualną. Parafrazując Krystynę Maksymowicz – tam nie ma desygnatów myślowych. Spektakl Kamila jest też opowieścią o współczesnym świecie i relacjach międzyludzkich, chociaż ten wątek jest jedynie sygnalizowany. Jest zabawnie, czasem refleksyjnie, choć to refleksja w stylu i na miarę Masłowskiej, nie Różewicza; nie gorsza – inna.

Muszę powiedzieć, nie tyle ze względu na sympatię do Piotra Zygmy, ile na świetną pracę – że napisana przez niego muzyka jest równoprawnym partnerem w tym spektaklu. Mamy więc „duodram” aktorsko muzyczny. Pierwszorzędną wartością jest to, że muzyka jest tworzona *hic et nunc*, a zatem muzyk może żywo reagować na to, co się dzieje na scenie. To czyni spektakl bardziej prawdziwym i daje aktorowi dużą swobodę. Muzyka dopełnia to, działania sceniczne, wzmacnia klimat, pointuje – pomaga aktorowi, czasem wykonując jego zadania.

Kamil Zyzik jest sprawnym aktorem, choć na początku swojej drogi artystycznej. Cierpi na chroniczną marskość artykulacji w stopniu znacznym, wypowiada kwestie niechlujnie (i to nie tylko tam, gdzie taki zabieg jest świadomy i uzasadniony, mówi upraszczając grupy spółgłoskowe, transakcentując, czy zjadając wygłos. To technalia, ale niestety szalenie ważne, zwłaszcza kiedy przysłaniają sens tego, co aktor mówi. Trzeba jednak oddać, że postaci rysował konsekwentnie, posługując się subtelnymi i dobrze dobranymi środkami wyrazu. Tu słowa uznania dla reżyserki spektaklu, która zrealizowała świetne pomysły. Wróćmy jednak do Kamila, którego trzeba też pochwalić za dobre wykorzystanie rekwizytów.

Sceniczna adaptacja dobrej literatury jest zawsze bezpiecznym rozwiązaniem – sam tekst nie sie aktora. Kamil skrętnie z tego skorzystał i nie wyszedł poza tekst. Może tak miało być? A może warto pójść krok dalej?

Wychodząc ze spektaklu wiedziałem, że między mną a Kamilem dobrze jest, ale mam też świadomość, że kiedy spotkamy się za rok – będzie jeszcze lepiej.

Gustaw Puchała



© Aleksandra Kalista

Zuzanna Bartczak „Nie-wola istnienia”

według powieści „Pałac” Wiesława Myśliwskiego

scenariusz, reżyseria, scenografia: Jana Koronkiewicz i Zuzanna Bartczak

Zuzanna Bartczak przyjechała z Brzegu, gdzie na co dzień pracuje z dziećmi. Owocem tej pracy jest spektakl „Nie-wola istnienia”, który mieliśmy przyjemność obejrzyć. To była wyjątkowa praca, bo praca dla przykładu. Monodramistka postanowiła pokazać swoim podopiecznym, że każdy może wyjść na scenę i opowiedzieć swoją historię. I nie zostanie wyśmiany. Dla dzieci, z którymi pracuje Zuzanna, to szalenie ważne – mają dziesięć, dwanaście, piętnaście lat, czasem mniej, i bardzo potrzebują prawdziwego instruktora. Nie tylko takiego, który powie, czego nie robić na scenie, ale takiego, który pokaże własną postawą, że można. W ten właśnie sposób znalazła się wśród najlepszych w Słupsku.

Aktorka sięgnęła po drugą powieść Wiesława Myśliwskiego – „Pałac”. Jest to historia parobka, który wszedł do tytułowego pałacu swoich państwa po tym, jak ci opuścili rodową siedzibę, uciekając przed wojną. W tym miejscu dokonuje się przemiana wewnętrzna bohatera, który z osoby wykorzystywanej staje się, w swojej imaginacji, osobą wykorzystującą. Zuzanna opracowała jeden z zawartych tam wątków kobiety darzącej włościanina ogromnym uczuciem, które jednak nigdy nie zostało odwzajemnione. Mimo to, bohaterka spodziewała się dziecka. Targają nią sprzeczne, bardzo silne emocje, z którymi radzi sobie w różny sposób, albo nie radzi wcale.

Należy pamiętać, że SNS wywodzi się z konkursu recytatorskiego, zatem najważniejszą rzeczą jest kunszt mowy, a trzeba przyznać, że słuchało się Zuzanny z dużą przyjemnością. Sam wybór tekstu też zasługuje na pochwałę, w końcu Wiesław Myśliwski to jeden z najlepszych pisarzy polskich XX w. i jak mówi Zuzanna, jego dzieła są bardzo bliskie jej sercu.

Ograniczenie się do dwóch rekwizytów – wiadra i sznura pozwala widzowi skupić się na opowiadanej historii. Mądrze przemyślana konstrukcja spektaklu skutkuje rozbudzeniem wyobraźni oglądających. I tak na naszych oczach sznur staje się szmatą do podłogi, czy fałującą suknią w tańcu, by ostatecznie stać się narzędziem do popełnienia samobójstwa, które staje się jedynym sposobem na zakończenie tragicznej sytuacji życiowej kobiety.

Nieco lepiej dopracowana mogłaby być warstwa uczuciowa spektaklu. Czekano na ciąg dalszy, by w pełni poczuć ból bohaterki, to niestety nie nastąpiło. Jednakże biorąc pod uwagę, że Zuzanna grała „Nie-wolę istnienia” dopiero trzeci raz (wszystkie na przeglądach OKR), uważam, że jest to niedociągnięcie, które przestanie być zauważalne po nieco większym obyciu z historią.

Nicola Łazarów



© Aleksandra Kalista

Martyna Kleszczewska „Zabrali mnie w nocnej koszuli na Sybir”

„według powieści „Szare śniegi Syberii” Ruty Sepetys
scenariusz, reżyseria, scenografia: Jolanta Hinc-Mackiewicz

Zaczyna się znajomo i obco zarazem, popularna melodia zapisana w tonacji dur, niespodziewanie napęnia scenę malowniczymi harmoniami, choć z ust aktorki słyszymy tylko pojedyncze dźwięki. Chociaż nic nie zapowiada tragedii, minorowe tony napęniają nasze myśli, nieustannie wsączając w nas, jakiś trudny do opisanego niepokój. Zdarzenia potoczą się lawinowo w rytm jadącego pociągu, którego dźwięki emitowane są, przez wystukiwanie na starej tekturowej walizce. Pasażerowie, stłoczeni w bydlęcych wagonach „udają” się w podróż, której przydaje się miano „wyjazdu z biletem w jedną stronę”. Wśród nich jest młoda szesnastoletnia Litwinka - Lina, która razem z rodziną trafia do jednego z obozów pracy na Syberii. Sarkastyczny i na wskroś cyniczny opis podobnych zdarzeń można zawrzeć w kilku zdaniach, ale nie o sekwencyjność wydarzeń tu chodzi, a o to, że przepełnione były one ogromem cierpień, tym bardziej bolesnych, bo niezrozumiałych.

Jest pierwszy dzień „Sam na scenie”. Z zainteresowaniem przypatruję się młodej, skromnej nastolatce, o niebywale jasnej karnacji, śnieżnobiałych włosach, dyskretnym uśmiechu i wnikliwym spojrzeniu, który zdradza wrażliwość i ogromną ciekawość świata. Myślę sobie, jest „moja” Lina. I tym razem intuicja mnie nie zawodzi. Następnego dnia widzę na scenie nieznaną Martynę - Linę, która proponuje mi miejsce obok siebie. Zgadzam się i jedziemy razem, pokonując kolejne kilometry bólu, strachu i niepewności. Początkowo teatralna podróż nie może złapać właściwego rytmu, moja współpasażerka próbuje opo-



© Anna Glińska

wiadać mi jakąś historię, a ja czuję, że to nie jest jej historia. Wielowątkowość, brak precyzji i dokładności projektowanych postaci dramatu zaciera nieco obraz, który staram się zobaczyć. Didaskalia pojawiające się w narracji spowalniają rytm zdarzeń do nienaturalnego tempa, które niewątpliwie nie może towarzyszyć tak dramatycznym doświadczeniom.

Pojawiające się z off-u dźwięki bardziej przeszkadzają niż pomagają aktorce i widzom, bo są jakby z innej stylistyki. Te wszystkie pomysły inscenizacyjne raczej rzucają kłody pod koła teatralnej lokomotywy, którą Martyna próbuje rozpędzić. Na szczęście „przeszkody” znikają i młoda aktorka zaczyna radzić sobie coraz lepiej. Na następnej stacji, gdzieś za Leną zostawia swój teatralny entourage i porywa mnie w zimną, nieprzyjazną i przerażającą krainę cierpienia. Brawo Martyno. Zmierzyłaś się z niebywale trudnym materiałem. I proszę mi wybaczyć odrobinę prywaty – chciałbym zobaczyć ten monodram jeszcze raz – bez dodatków, z większą ufnością i wiarą w siłę słowa.

Wiesław Dawidczyk

Marcin Franaszek „Szczur bezbarwny”

na podstawie powieści „Pamiętnik Stefana Czarnieckiego” Witolda Gombrowicza

scenariusz, reżyseria: Grażyna Tabor



Z niecierpliwością czekałem, żeby zobaczyć monodram Marcina Franaszka. Po pierwsze dlatego, że jego pierwsze potyczki z monodramem widziałem już w roku ubiegłym i byłem ciekaw, jaki zrobił postęp od tamtego czasu. Po drugie (i ważniejsze) monodram „Szczur bezbarwny” powstał na kanwie opowiadania „Pamiętnik Stefana Czarnieckiego” pióra Witolda Gombrowicza. Dlaczego to takie istotne? Ponieważ praca z literaturą wysoką, posiadającą akcent uniwersalności, prawie zawsze ma bezpośrednie przełożenie na jakość oraz styl spektaklu. Nie inaczej było w przypadku przedstawienia Marcina. To jednak nie jest całkowicie komplement... Nie jest ponieważ myśli Gombrowicza niejako same przez się wpłynęły pozytywnie na poziom i odbiór monodramu.

Aktor przykuł moją uwagę oszczędnie, aczkolwiek treściwie prowadzoną narracją, dzięki której przedstawiana historia była czytelna mimo swego skomplikowania. Na podkreślenie zasługują również dobrze ograne rekwizyty uosabiające ojca (marynarka) i matkę (sukienka). Niestety były również oczywiste. W miarę rozwoju przedstawienia zmianie uległ sposób prowadzenia opowieści – Marcin był coraz bardziej ekspresywny, aż do przesady w momencie, w którym opowiadał o szkolnej bójce, czy też doświadczeniach wojennych. Bieganie po scenie i udawanie strzelania z karabinu było, mówiąc oględnie, naiwne.

Spektakl „Szczur bezbarwny” jest wielowątkowy. Młody monodramista starał się przedstawić szerokie spektrum tematyczne, co ostatecznie odbiło mu się czkawką, ponieważ każdy z problemów, które poruszał: relacje żydowsko-polskie, dzieciństwo w pozornie „zacnym” domu, tożsamość kulturowa, presja społeczna, zmiany ustrojowe, żarliwa, aczkolwiek płytko wiara, romantyczna miłość, przeradzająca się w tyranie – może bez problemu być materiałem na osobne przedstawienia. Ich koegzystencja spowodowała, że żaden z nich nie został, przynajmniej w moim odczuciu, dostatecznie zaprezentowany.

Jednak ostatecznie chcę pochwalić Marcina, chciałbym zobaczyć jego spektakl jeszcze raz wtedy, kiedy on sam będzie trochę bardziej świadomym aktorem.

Michał Studziński

Marta Pohrebny „Rozmaryn”

na podstawie powieści „Rio Bar” Ivany Sajko

scenariusz: Dorota Rachmil-Wilczyńska

reżyseria, scenografia: Małgorzata Paszkier-Wojcieszonek

Mocne wejście. Na ekranie oglądamy wesele, radosną pannę młodą i rozbawionych gości. Nagłe wycie syreny alarmowej przerywa wszystko i niszczy życie tych, dopiero co szczęśliwych ludzi. Wojna. Ta chyba najgorsza (jeśli w ogóle można je stopniować), domowa.

Scenariusz „Rozmarynu” oparty jest na powieści - uznanej za najlepszy chorwacki debiut w 2006 r. - Ivany Sajko. Autorka przedstawia w niej wojnę z punktu widzenia kobiet, jakie poczyniła spustoszenia w ich życiu, jak trudno po jej zakończeniu wrócić im do „normalnego” życia. Czy to w ogóle jest możliwe?

Marta Pohrebny wchodzi w rolę takiej kobiety, panny młodej, którą widzieliśmy na filmie. Opowiada nam o swojej samotności, rozdarciu, utracie wszystkiego, co było ważne w jej życiu, o swoim gniewie i braku zgody na taki los. O tym, że musiała przyjechać do miasta, bo nie miała się gdzie podziać, ale nie umie znaleźć tu swojego miejsca, poza tym zawsze będzie tu obca. Jej dom spalili i żaden inny nie będzie jej domem. Jej ukochanego zabrali, a gości weselnych rozpędzili karabinami maszynowymi. Nie zostało jej nic, jak tylko zatracić się w alkoholu i rozpasaniu wielkiego miasta. Smutne, przerażające wyznanie. Bez zakończenia niosącego nadzieję. Chociaż można się ucześcić ledwie wyczuwalnego zapachu rozmarynu, który przebija się przez odór miasta. Dla bohaterki to zapach przeszłości, miłości, której tak rozpaczliwie potrzebuje.

Bardzo ciekawie skonstruowany scenariusz spektaklu, zamknięty w ramach modlitwy do Najświętszej Panienki. Modlitwy, w którą bohaterka już nie wierzy. „Zdrowaś Mario masz takie zimne oczy”, „gdzie byłaś, jak mi dom palili”. Pomiędzy wersami modlitwy aktorka opowiada o przeżyciach bohaterki, jej odczuciach, niepewności, niewierze w możliwość odbudowania swojego świata i o załamaniu się jej wiary.

Monodram bardzo sprawnie poprowadzony. Ekspresywna gra Marty Pohrebny realistycznie rysuje przed publicznością dramatyzm sytuacji. Słowa wyrzucane, jak pociski z karabinu maszynowego celnie trafiają w odbiorców, nie pozostawiając im możliwości „ucieczki”, nieusłyszenia. Jedyne rekwizyt wykorzystywany podczas spektaklu przez aktorkę to... pasek od jej płaszcza, który wściekle szarpie z bezradnością wspominając m.in. ręce oprawcy zaciskające się na jej gardle. Poza aktorką na scenie nie ma nic, czego mogłaby się chwycić, czym mogłaby się osłonić. Jest tylko ona i mocny, trudny tekst, obok którego nie da się przejść obojętnie.

Joanna Jusaniec



© Jadwiga Girska-Zimna

Milena Piejko „Być szczęśliwym”

według tekstu „Książka wszystkich rzeczy” Guus Kuijer

scenariusz, reżyseria, scenografia: Paweł Sroka

muzyka: Wiktor Marut



© Aleksandra Kalista

Pierwsze koty za płoty. Milena Piejko swoją przygodę z teatrem zaczęła zaledwie rok temu. Efekt jej pracy udało nam się zobaczyć na scenie Nowego Teatru. „Być szczęśliwym”, jak mówi sama aktorka, to przede wszystkim nowe wyzwanie, próba zmierzenia się trudnym tematem i ciekawość, jak to jest stać przed widownią oko w oko, w samotności. Milena jest najmłodszą uczestniczką festiwalu, co z pewnością nie ułatwiło jej zadania. Teatr zainteresował ją do tego stopnia, że po przeczytaniu „Książki wszystkich rzeczy” już wiedziała: „To jest to, o czym chcę opowiedzieć”.

Początkowo urzekł mnie świat widziany oczami dziecka. Spektakl opowiada o życiu Thomasa, młodzieńca, który stara się, na swój sposób, zrozumieć dorosłych. Milena sprawnie kreuje każdą prezentowaną postać, nadając jej odmienny gest i styl. Moim zdaniem jednak najzgrabniej prezentowała się właśnie w roli głównego bohatera. Łatwiej było jej opowiadać z przekonaniem o jego uczuciach i emocjach. Początki są trudne i o tym wie każdy z nas, zarówno recytator jak i aktor, ale i tak zadanie zostało przez nią wykonane na piątkę plus.

Jaką zatem, Milena przygotowała dla nas receptę na szczęście? Przestać się bać. W tajemnicy powiedziała mi, że najbardziej obawia się właśnie „skrywania”, czyli tego co inni zamykają w domach na klucz. Rodzinne perypetie przedstawione w spektaklu „Być szczęśliwym”, odkrywają przed nami opowieść o tym, że każdy chowa za plecami jakiś strach. Thomas – strach przed ojcem, ojciec – strach przed prawdą. Wszystko to miesza się na scenie przy pomocy prostych i czytelnych środków. Milena zabiera nas w świat wyobraźni i tym właśnie urzeka.

Młodej miłośniczce teatru życzę powodzenia i mam nadzieję, że uda mi się zobaczyć ją jeszcze na scenie. Przed nią na pewno dużo pracy, ale myślę, że udział w Sam na scenie doda jej skrzydeł i da motywację do dalszego działania.

Michalina Filimoniak

Janusz Kamiński „Ostatni list...”

w oparciu o „Ostatni list biskupa Heidenryka z Chełmży do swojego przyjaciela Wielkiego Mistrza Krzyżackiego Anno von Sangerhausen”

scenariusz, reżyseria: Kazimierz Trybulski

Serce radować się musi każdemu miłośnikowi sztuki monodramu, gdy na scenę trafia aktor z tekstem stworzonym specjalnie dla niego i z myślą wprost o teatrze jednoosobowym. Pewnie wielu twórców scenicznych chciałoby mieć na podorędziu takich pisarzy, jak Kazimierz Trybulski, który to specjalnie dla Janusza Kamińskiego stworzył „Ostatni list biskupa Heidenryka z Chełmży do swojego przyjaciela Wielkiego Mistrza Krzyżackiego Anno von Sangerhausen” (oparty w dużej mierze na jego powieści „Wzgórze nad jeziorem”). Żeby tego było mało spektakl jeszcze wyreżyserował. Oto przykład samowystarczalności godnej najwyższej pochwały.

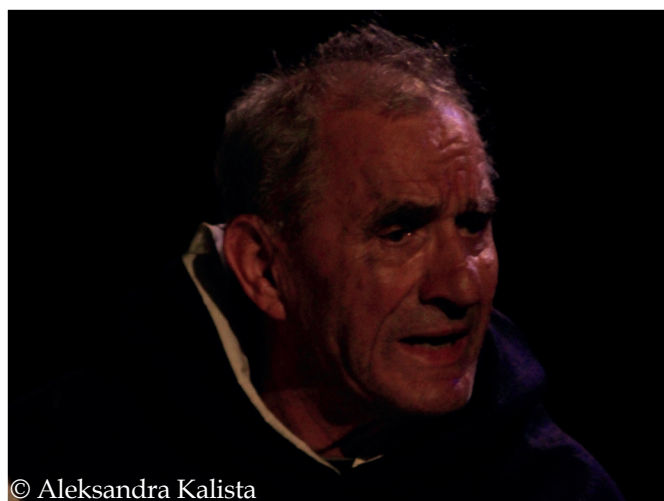
Przejdźmy już jednak do opowieści prezentowanej przez Janusza Kamińskiego. Jest to historia w dosłownym tego słowa znaczeniu. Cofnąć się nam bowiem przyszło aż do XIII wieku. Na tereny zajmowane ówczesnie przez Zakon Krzyżacki, w którym rozgrywa się właśnie rebelia, nazwa później drugim powstaniem pruskim.

Biskup Heidenryk, w którego postać wcielił się Janusz Kamiński, prowadzi monolog, przybrany w formę listu, będącego swoistą kroniką przyczyn, jakie spowodowały wybuch konfliktu i zdecydowały o tak krwawym jego przebiegu. Bohater narracji nie tyle jednak relacjonuje, co sam stara się zrozumieć. Dowiedzieć się, jak mogło dojść do tak oczywistego złamania przykazań chrystusowych wśród chrześcijańskiej wspólnoty. Dlaczego tę społeczność toczy rak wzajemnej nienawiści, i co można uczynić, aby uniknąć spirali agresji.

Pytania to trochę współczesne, i spektakl zmierza wyraźnie w stronę uniwersalizacji swojej problematyki. Choć przecież i w samym średniowieczu toczono uczone dysputy o „sprawiedliwej wojnie”, czy sensie funkcjonowania Zakonów Rycerskich. Miłosierdzie, o które tak głośno dopomina się Heidenryk nie było jednak z pewnością, w owym czasie, wartością szczególnie cenną – zwłaszcza na wojnie.

W tym miejscu pojawia się u mnie jedna wątpliwość. Chociaż podoba mi się bardzo oparcie narracji o powieść historyczną, która z definicji jest świetnym tematem do przemyśleń natury ogólnej. To nie jestem w stanie do końca zrozumieć potrzeby budowania tak wysoce realistycznej scenografii, która zamiast w stronę metafory ustawicznie „ściąga” w kierunku konkretnego. To trochę chyba jednak przesadzone tło wydaje się zbędne i zanieczyszcza, w mojej opinii, przekaz. Zwłaszcza, że spektakl niesiony jest głównie przez świetny głos aktora i logiczną konstrukcję scenariusza. Natomiast sam tekst daje nam aż nadto dużo sygnałów, aby zrozumieć sytuację sceniczną. Z tych też powodów występ Janusza Kamińskiego pozostawił mnie z dość ambiwalentnymi odczuciami. Z jednej strony do budowania przedstawienia twórcy użyli, moim zdaniem, zbyt dużej ilości budulca. Z drugiej natomiast, wydaje się, że spektakl ma ciągle niewykorzystany potencjał, który jeszcze czeka na odkrycie.

Maciej Swornowski



© Aleksandra Kalista

Paweł Ziegler „Niechciany”

na motywach tekstów Michała Krzymkowskiego „Jarosław. Tajemnice Kaczyńskiego. Portret niepolityczny” oraz Grzegorza Sieczkowskiego i Bernadetty Waszkiewicz „Miłość i przeznaczenie. Trzy pokolenia rodziny Kaczyńskich”
scenariusz, reżyseria: Jarosław Filipiński
scenografia: Jarosław Filipiński i Paweł Ziegler

Idąc na przedstawienie Pawła Zieglera miałem pewne obawy, zapowiadał się ostry spektakl polityczny, bo i temat drażliwy – Jarosław Kaczyński. Spodziewałem się apoteozy, uwielbienia i wywyższenia, apokryfu niemal, nie zważając na niepolityczny tytuł spektaklu. Tymczasem...

Rozbrzmiewa muzyka i wysoki, szczupły mężczyzna, paradno-tanecznym krokiem wnosi na scenę stołek. Ale nie taki, jakiego użył Patryk Rybus – ładny, czysty, polakierowany. To był stary, zniszczony stołek, tu wyszczerbiony, tu lakier odprysnięty, tu znowu płyta rozwarstwiona. Aktor jednak wnosi coś dużo bardziej majestatycznego niż prząsny stołek, on wnosi ojca. Stawia go naprzeciw siebie i zaczyna trudną rozmowę. Jest rozżalony, że ojciec go odrzuca, wręcz zaprzecza jego istnieniu, nie chce znać syna, który jest owocem bytności warszawskiego inteligenta w Łku, pod koniec lat 80. Bohater zabiega o względy ojca, rozpaczliwie wręcz błaga o zainteresowanie, uznanie. Jednocześnie, prowadzi z ojcem swego rodzaju rozliczenie, wyrzucając mu zgorzknienie i nienawiść do otaczającego świata. I byłby to bardzo poważny spektakl o najintymniejszych emocjach, gdyby ojcem nie był Jarosław Kaczyński, a synem Jarosław Kaczyński, syn Jarosława. A może synem jest kraj? Czy przypadkowo aktor ubrany był w koszulkę z Orłem w koronie z napisem Polska?



© Aleksandra Kalista

Paweł Ziegler tworzy spektakl i śmieszny, i straszny. Niczym w soczewce skupia obecnie obserwowany podział na prawdziwych i nieprawdziwych Polaków, stara się jednak śmiać z tego, opowiadać o bardzo poważnych sprawach w zabawny sposób, choć to śmiech przez łzy. Ogląda się przyjemnie, Paweł jest sprawnym aktorem, chociaż mam wątpliwości, czy jest to aktorstwo, czy raczej rodzaj bardzo dobrze zrobionego kabaretu. Nie mam nic przeciwko dobremu kabaretowi. Tylko czy o to chodzi w teatrze, który wywodzi się z ruchu żywego słowa? Chyba nie, chociaż z drugiej strony nie możemy się odrywać od rzeczywistości i zamykać oczu, udając, że słońca nie ma.

Chcę pochwalić Pawła za świetne wykorzystanie rekwizytu – najlepiej poradził sobie ze stołkiem, reszta użyta raczej dosłownie, ale poprawnie. Duża sprawność warsztatowa aktora powodowała, że słuchało się go i oglądało bardzo przyjemnie. Mimo tego, w pewnej chwili miałem już dosyć tej tematyki, opowiadanej po raz kolejny z nowej strony. Przypuszczam, że zmęczył mnie tak nieco sinusoidalny przebieg spektaklu, brak zdecydowanej dominanty dramaturgiczno-fabularnej. W przedstawieniu widziałem kilka finałów, a ten ostatni nie był wcale najsilniejszy. Kontynuując zaczęłą wczoraj metaforę kulinarną powiedziałbym, że spektakl Pawła, jest jak tort – jeden, dwa kawałki są smaczne i dają radość, ale pół blachy powoduje niestrawność.

Gustaw Puchała

Omówiono

Irena Tkaczyk

Wiesław Geras

Dzisiaj pełne uznanie. Widać pracę.

Teatr ubogi to mój teatr.

Krystyna Maksymowicz

Taka najprostsza forma to dla mnie rasowa forma monodramu.

To, co tygrysy lubią najbardziej.

Udało się pani sięgnąć do rejestru piersiowego.

Bernadetta Żynis

Prostota wykonania.

Strasznie mnie to poruszyło.

Jan Zdziarski

Spektakl oparty o opowiadanie. Gotowiec.

Cale zadanie polegało na tym, żeby nie przeszkodzić zaistnieniu tekstu.

Opowiadanie samo w sobie wciąga.

To nie jest spektakl, który zostanie ze mną na dłużej.

Niewiele się zmieniło w pani i we mnie.

Kamil Żyzik

Krystyna Maksymowicz

Mamy tu drugi biegun odmienności.

Podoba mi się, że są tu różne plany.

Ma wszystkie elementy inscenizacyjnej.

Zderzenie Różewicza i Masłowskiej uważam za bardzo udane.

Uprowadzenie języka, dobrze, ale dbajmy o kulturę słowa.

Ona jest sucha czy słucha?!

Zdeptane, zmietoszone ale niech będzie wyraźnie.

Próbuję to po swojemu rozkminić.

Bernadetta Żynis

Młody człowiek może mnie przekonać, że to wszystko jest złe.

Te błędy językowe odczytałam jako dystans do tekstu i siebie samego.

Jan Zdziarski

Chodzi mi o wyrazistość artykulacyjną, by słowo dotarło, nawet skalane.

Przeciwny kraniec teatru jednego aktora.

Przestrzeń wymyślona żyje razem z aktorem.

Zuzanna Bartczak

Jan Zdziarski

Proza Myśliwskiego, to taki materiał, że się bierze i jest.

Z jednej strony odwaga, z drugiej nieśmiałość i wstyd.

Ano bierze kiecę tu i zakłada.

Bernadetta Żynis

Skromność zagubionej osoby.

Mieszanina wstydu i odwagi do mnie przemawia, bo kobiety takie są.

Krystyna Maksymowicz

Wydaje mi się za krótkie.

Taniec ze sznurem pięknie poprowadzony.

Wody do tego wiadra!

Zabrakło odwagi, wejścia w brzuch.

To jest mięsiste i mocne.

Wiesław Geras

Jest to spektakl z mojej bajki.

Nie spektakl a etiuda.

Popracujcie nad scenariuszem.

Martyna Kleszczewska

Krystyna Maksymowicz

Jest opowieść, jest historia, powiedzmy martyrologiczna.

To jest mocne.

Popychanie smutnego smutnym nie działa.

Trawa, trawa szmerliwa białe kości odkrywa.

Dwa grzyby w barszczu.

Bernadetta Żynis

Dziewczęca uroda i delikatność bardzo mnie wzruszyła.

Przeszkadzał mi nadmiar rzeczy do przeszkadzania.

Podpisuję się pod tym.

Jan Zdziarski

Nie jest to tekst dramatyczny.

To przedstawienie zaczęło się dla mnie od jazdy pociągiem.

Melodia z offu słyca narrację i odziera ją z prawdy.

Wiesław Geras

Nie jestem obiektywny, bo spektakl dotyka mojego pokolenia.

Marcin Franaszek

Bernadetta Żynis

A mnie się podobało!

Mimika bezbarwnego szczura.

Jan Zdziarski

ładnie zadziało.

Dla mnie przedstawienie zaczęło się, gdy się pan odwiązał od bezsensownych rekwizytów.

Fantastyczny moment z ręką w rękawie marynarki.

Bardzo popularny chwyt.

Przestałem pana słuchać.

Krystyna Maksymowicz

To bardzo jest dobry tekst.

A jest B, B jest C, a A to C. Prawo przechodności obowiązuje wszędzie.

Leci domino braku konsekwencji.

Wiesław Geras

Propozycja interesująca.

Podziękowania dla pani instruktor za scenariusz i reżyserię.

Marta Pohrebny

Bernadeta Żynis

Cudowne. Wstrząsające. Ciarki i łzy.

Wszystko mi się podobało.

Robiła pani ze mną wszystko, co pani chciała.

Wiesław Geras

Jak pani zrezygnuje z tej projekcji, to chcę panią widzieć w moim teatrze.

Krystyna Maksymowicz

Miałam uczucie, że tam są dwa finały.

Diapazony emocjonalne.

Oczekuje się dalszego ciągu.

Ta historia jest nie do końca przemyślana.

Jan Zdziarski

Ta historia nie jest linearna. Te klocki można przedstawiać.

W projekcji dzieje się wszystko.

Przedstawienie zagrane praktycznie na jednym metrze kwadratowym przestrzeni scenicznej, a jednocześnie dla mnie było ogromne.

Milena Piejko

Krystyna Maksymowicz

Rodzaj zabawy z teatrem z perspektywy dziecka.

Małe kocie, które bawi się kłębkami.

Dowcipne, a potem jest sprawa.

Tu jest problem.

Trzeba trochę poczyścić.

Bernadetta Żynis

Dla odmiany bardzo mi się podobało.

Sama jedna osoba udźwignęła kilka postaci.

Wiesław Geras

Pełen debiut.

Panie Pawle, pamiętamy pana tutaj (do instruktora).

Jan Zdziarski

(do jurorów) przesadzacie Państwo z pochwałami.

Widać, że Milena gra ten spektakl, bo ten list zaraz się rozpadnie.

Bić brawo, czy nie bić brawa – zostaliśmy z problemem.

Janusz Kamiński

Jan Zdziarski

Nie pierwszy raz się spotykamy.

Kiedy próbuje pan zbudować spektakl usilnie próbuje pan grać osobę widzącą, a my widzimy, że to jest udawane.

Krystyna Maksymowicz

Odgrywanie realistycznego teatru w konwencji ilustracyjnej jest przeinwestowaniem.

Za dużo grzybów w barszczu.

To ma formę rekonstrukcji.

Nie ma doświadczenia w zabijaniu, gram alkoholicką, ale nie mam aż tak dużego problemu.

Wiesław Geras

Pan jest znakomitym recytatorem.

Tworzyć to coś dla kogoś, chyba, że sztuka dla sztuki.

Mnie nie obchodzi, czy pan dotyka czy nie dotyka.

Rekwizyty – łopatologia.

Reżyser troszkę zawałił sprawę.

Bernadetta Żynis

Gdybym miała sobie wyobrazić średniowiecznego zakonnika, to musiałby wyglądać jak pan.

Pięknie zagrana postać.

Paweł Ziegler

Krystyna Maksymowicz

Wisienka na torcie.

Ma pan talent animowania.

Głos w dyskusji młodego chłopaka.

Przejaw genu wolności.

To jest na krawędzi parakabaretowej.

Żeby to nie było za tanie.

Bernadetta Żynis

Zobaczyłam w misiu podobieństwo do Kaczyńskiego.

Wiesław Geras

Podobał mi się, ale ja się nie będę wypowiadał, bo jestem daleko od polityki.

Jan Zdziarski

Czasem trzeba się zastanowić czemu się śmieje.

Taki długi, a ile miał wdzięku!

Pięknie się pan porusza po scenie.

Spisali: Karolina Dąbrowska, Nicola Łazarów, Gustaw Puchała, Martyna Szabat



Wieczór mistrzowski Stanisława Miedzińskiego
"Iwan Karamazow zwraca bilet"
wykonanie Michał Studziński

Redakcja

Redaktor naczelny: Maciej Swornowski

Redaktorzy: Wiesław Dawidczyk, Michałina Filimoniak, Joanna Gutral, Joanna Jusaniec, Nicola Łazarów, Gustaw Puchała, Michał Studziński

Fotoreporterzy: Anna Głińska, Maja Kalinowska, Aleksandra Kalista, Aleksandra Krynicka
(opieka merytoryczna działu foto: Jadwiga Girsza-Zimna)

Organizatorzy



Partnerzy



Patronat i wsparcie finansowe



Patronat honorowy



MIECZYSLAW STRUK
MARSZAŁEK
WOJEWÓDZTWA POMORSKIEGO

Zadanie współfinansowane ze środków i przy wsparciu rzeczowym



Patroni medialni



HONOROWY GOSPODARZ
Robert Biedroń
Prezydent
Miasta Słupska